

Sceny z życia **małżeńskiego**



Borys Szyc i Karolina Gruszka
w „Słonecznej linii” Wyrpajewa

Jacek Wakar, Polskie Radio

Wyrpajew pisze dużo, więc przyznam, że trochę straciłem już rachubę. Nie wiem na przykład, który z dramatów był najpierw – „Nieznośnie długie objęcia” czy „Letnie osy kłają nas nawet w listopadzie”. W każdym razie pierwszy z tych tekstów wystawił sam autor z aktorami Teatru Powszechnego podczas krakowskiej Boskiej Komedii w końcu 2014 roku i do dziś pamiętam moje po tamtym przedstawieniu olśnienie. Potem widziałem jeszcze „Nieznośnie długie objęcia” na szczecińskim Kontrapunkcie w trudnych warunkach zdecydowanie za małej na ten spektakl sceny, a mimo to rozkwitły, nabrały nowych barw. Teatr Wyrpajewa odbywa się w największym skupieniu, aktorzy potrzebują czasu, by się w nim dotrzeć, odkryć wszystkie sensy, ukryte w monologach i rozmowach postaci.

„Nieznośnie długie objęcia” uważam obok „Iluzji” za najważniejszy i najlepszy dramat Wyrpajewa. A myślę nad chronologią powstawania jego tekstów, bo próbuję zrozumieć sposób pracy dramaturga. Zastanawiam się na przykład, czy porzuca bohaterów w ich ekstremalnych stanach emocjonalnych, aby zająć się względnością prawdy, bo o tym były „Letnie osy...”. Czy też zostaje z nimi, prowadząc ich dalej, w inne życiowe momenty, inne wybory, inne desperacje. Gdyby zestawili ze sobą „Nieznośnie długie objęcia” i „Słoneczną linię”, szybko wyszłoby na jaw pokrewieństwo obu utworów, i to podyktowane nie tylko tym, że wyszły spod tej samej ręki. Pierwszy ma czworo bohaterów, ludzi bez adresów, swobodnie poruszających się między miastami i kontynentami, krótkimi chwilami pozorowanego szczęścia zabijających swą samotność. W drugim spotykamy tylko dwie postaci. Kobiętę i mężczyznę – Barbry i Wenera. Wrócili do domu wieczorem, każde po ciężkim dniu pracy. Ona zdążyła zamienić eleganckie szpilki na wygodne kapcie, ale została w szykownej sukience. On zrzucił tylko marynarkę. I rozpoczęła się kłótnia, awantura z pioruna-

TEATR POLONIA Z pozoru zaprasza nas wciąż do tego samego świata, znamy już na wylot charakterystyczne brzmienie jego frazy. Jednak kosmos stworzony przez Iwana Wyrpajewa wciąż jak narkotyki. Kolejny dowód to wybitna „Słoneczna linia” w warszawskim Teatrze Polonia

mi, o wszystko i o nic. O siedem lat ich małżeńskiego życia, o brak dziecka i absurdalne nadzieje związane ze splatą kredytu. O za mało zrozumienia i drobne przyzwyczajenia, kiedyś nie do zauważenia, a dziś będące jak kłoda u nóg. Zaczęli o 22, a teraz kuchenny zegar wskazuje piątą rano. Wyrpajew przyspiliła ją i jego w jednej chwili, gdyż podczas przedstawienia w Polsce wskazówki stoją w miejscu. Nie sądzę, aby był to przypadek albo techniczna niedoróbka. Upiływające minuty to mgnienie oka w skali wieczności, a właśnie ona interesuje prawie od zawsze rosyjskiego artystę.

Patrzyłem z zachwytem na Karolinę Gruszkę i Borysa Szycę w ich zwiarcu miłości i nienawiści, ale nie zubożenia, i przypomniałem sobie Gruszkę w jej monologu z „Nieznośnie długich objęć”. Z każdą chwilą nabierałem pewności, że „Słoneczną linię” można potraktować jak drugi akt tamtej opowieści. Powiedzmy, iż dwoje z czworga bohaterów jakimś cudem unormowało swe życie wedle zasad mieszczańskiego społeczeństwa, kupiło mieszkanie, poszło do nielubianej pracy. Na pierwszy rzut oka upodobało się do wszystkich, ale w głębi

pozostało innymi. Może widzimy ich właśnie w chwili, gdy sobie o tym przypomineli i poprzez wzajemne zadawanie bólu spróbowali odreagować stracone nadzieje? Nadzieje, a nie czas, bo Wyrpajew jest po stronie Barbry i Wenera, a Karolina Gruszka wraz z Borysem Szycem nawet na moment nie pozwalają nam się od nich zdystansować.

Coś niecodziennego dzieje się podczas tego przedstawienia z widownią Teatru Polonia, tak przynajmniej było w wieczór, gdy oglądałem „Słoneczną linię”. Ludzie od pierwszej chwili zdają się być wciągnięci w potyczkę bohaterów, każdą replikę przyjmują mocnym śmiechem, który czasami zamiera na ustach, a po zakończeniu od razu zrywają się do stojącej owacji. Wyrpajew niewątpliwie nie bez przyczyny „Słoneczną linię” w jej dosyć tradycyjnej formie zrealizował właśnie tu; z „Nieznośnie długimi objęciami” widzowie, którzy stale odwiedzają Polskę, mogliby jednak mieć problem. Nie znaczy to w najmniejszym stopniu, że się do nich dostosował, poświęcił na rzecz przystępności język i styl. „Słoneczna linia” to ciągle ten sam Wyrpajew, może jeszcze biegły w konstruowaniu złożonych z długich sentencji dialogów. Ich konstrukcja sama w sobie stanowi znak firmowy artysty. Buduje on bowiem długie frazy, świadomie zmierzające ku poetyckiemu zapętleniu. Tyle że zderza je ze stosowanymi w nadmiarze wulgaryzmami, stającymi się głównym motorem w starciu bohaterów. Najbardziej wymyślne bluździ padają więc ze sceny Polonia we wszystkich odmianach, do tego w fantastycznym tłumaczeniu Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej. Wiadomo, że nie dałoby się ich zastąpić, wiadomo też, że Iwan Wyrpajew odnalazł w swojej dramaturgii całkiem osobny język. Osobny, a jednak – jak się okazuje – wspólny dla wielu. W „Słonecznej linii” łatwo odnaleźć własne doświadczenia – w jednym czy dwóch szczegółach, a może w szerszym spojrzeniu. Sam autor mówił, że jego żona ma zawsze rozładowaną komórkę, co utrudnia kontakt i czego ślad umieścił w sztuce. Może dlatego się śmiejęmy, bo w Wenerze i Barbry widzimy siebie?

Był pomysł, żeby w „Słonecznej linii” z Karoliną Gruszką zagrał sam Wyrpajew.

Okazało się to niemożliwe, bo polski nie jest jego pierwszym językiem, a ten dramat to są kilometry słów. Jest jednak Gruszka, wydaje się, że to dla niej zostało napisane „Kto się boi Virginii Woolf?” na nutę autora „Tle-nu”. Można powiedzieć, świadomie po staroświecku, że polska aktorka jest dla swojego męża w ścisłym sensie muzą, że ich przedstawień nie byłoby bez wzajemnej inspiracji. Gruszka porusza się już w świecie Wyrpajewa, jakby to był jej własny, bezbłędnie panuje nad rozlewną frazą, idealnie rozkłada akcenty, mistrzowsko buduje napięcie. Jej interpretacja Barbry zdaje się być jedyną możliwą, nie wiem, jak by „Słoneczna linia” wyglądała, gdyby z tą rolą zmierzył się ktoś inny. Jest w Gruszcze dziwna miękkość, jakaś ulotna delikatność, co w połączeniu z morderczymi często słowami stanowi piorunującą mieszaninę. Świetny jest również Borys Szyc, z dyscypliną trzymający się rytmu dialogu, na zewnątrz grubo ciosany i obcesowy, w środku bezbronny, tęskniący za romantyzmem. Z Gruszką tworzy duet wyjątkowy.

A Iwan Wyrpajew? Jest w „Słonecznej linii” po trosze Edwardem Albeem, skoro już wymieniałem „Kto się boi Virginii Woolf?”. I jest też odrobinę Ingmarem Bergmanem z jego „Scenami z życia małżeńskiego”. Łączy ich bezkompromisowość w ukazywaniu emocji postaci i to, że lubią patrzeć na nie w zbliżeniu. Z jedną však różnicą: ten tekst i przedstawienie w warszawskiej Polsce jest komedią. Komedią, co się zowie, i reżyser wyciąga z tego najważniejsze konsekwencje. Gruszka i Szyc w swym bezlitosnym zwiarcu są często nieodparcie śmieszni, doprowadzają swoją kłótnię poza granice absurdu. I jeszcze – Wyrpajew patrzy na jasną stronę. Pozwoli Barbry i Wenero-wi zatańczyć, a nam uwierzyć, że ponad wszystko potrzebują bliskości i mogą sobie ją dać. Bo my ją im już ofiarowaliśmy, w pierwszej chwili przedstawienia. Bo oni są jak my. My to oni. ☺☺

Słoneczna linia | tekst i reżyseria Iwan Wyrpajew | Teatr Polonia w Warszawie

